SWIAT DRAMATYCZNY

SWIAT DRAMATYCZNY

Pismo czasowe

poświęcone

TEATROWI LITERATURZE

i

MODZIE

Tom 1.

1839.



w Litog: Fka Schuster w Warszawie.

ŚWIAT DRAMATYCZNY

URYWEK
Z PISM
ALEKSANDRA MARLIŃSKIEGO.

.... Chcą żebym ja został Autorem! lecz wiedząż ci doradcy jak trudno jest człowiekowi z duszą pisać dla duszy? wiedząż oni, że talent jest bytem autora, i że on trwoniąc dla zabawy świata najlepsze chwile tego bytu, resztę życia troskami zatruwa? Piszą albo z pamięci albo z wyobraźni: lecz cóż jest wyobraźnia, jeśli nie pamięć, rozogniona, ulotniona płomieniem serca? A wieleż to dni pięknych naliczy w przeszłości wyniosła, drażliwa dusza poety-autora? Ma on wspomnienia-kwiaty lecz ma i wspomnienia-rany. I te rany jątrzą się, toczą krew, znowu się zapalają i dręczą boleśnie, skoro z nich zerwiesz przepaskę zapomnienia lub obojętności. Takiemi są zadane ręką przeznaczenia, żądłem złości lub

zdrady. Lecz czyliž są lžejsze rany od strzał ulubionych skłonności naszych? Słodkož jest wspominać w cierpieniu o ubiegłych chwilach szczęścia, gorzeć samotnie namiętnością ku téj z którąśmy dawno rozłączeni i nigdy się nie ujrzym? Czém jest myślić, w potrzebie rad i pocieszeń przyjaciela: »o! gdyby on teraz był ze mną!« i znajdować, zamiast žywiącego jego wzroku, w oczach swoich łzę o jego zagubie? Weź tylko pióro, zamyśl opisać co się stało kiedy z tobą, lub się stać mogło z drugimi, a wszystkie wspomnienia powstaną całą tłuszczą, proszone i niespodziane, požądane i bolesne i staną przed tobą jak duchy wywołane przez niedoświadczonego czarodzieja, który juž nie jest wstanie władać niemi. Oświecone bladym księžycem przeszłości, trupy te zaczynają swój straszny, galwaniczny taniec. Są wianki na ich czaszkach, lecz te juž powleczone prochem mogiły i trącą zepsuciem. Jest uśmiéch, lecz on pełza jak robak na okostniałych ustach. Głos ich jak stuk łopaty o deskę grobową, rozlega się w sercu žyjącém; ich pieszczoty mrozem przejmują... I wy chcecie žebym się zabawiał kośćmi i śpiéwał jak Hamletowi grabarze? žebym malował portrety z umarłych? žebym z popiołu budował wspaniałe zamki, był wesół kiedy mi się chce płakać, rozpływał się w roskosznych opisach, kiedy rzeczywistość moja jest tak biédną, kiedy mi powszedniéj odrobiny radości niepozostało? Silném rozmaitém jest wyobraženie tworzące z obecności; lecz mętny i słaby zdrój jego, kiedy się sączy przez mogiły.

Powiedziałem že są wspomnienia-kwiaty: ale te žywe kwiaty ulubionych błędów i niewinnych grzechów młodości, rosły na sercu. Odrywając je, ažeby przenieść na papier, my rozdzieramy serce i ani swoje, ani cudze łzy, nieožywią, pod

chłodem światowym, tych kwiatów ciepłego kraju, ani zagoją ran osieroconéj powierzchni.

I świat tę ciężką spowiedź nazwie powieścią, jeżeli autor swoje uczucia pokryje wymyślonemi imionami, a nieuwierzy jéj, jeśli ją pod własném, za prawdę ogłosi. Świat tak się przyzwyczaił mówić i słyszeć kłamstwa, że największa jego pochwała jeniuszowi: »jak on mistrzowsko przedstawia się czém zechce! jak dobrze umie ukrywać lub naśladować wszystkie uczucia.«

I świat myśli, że pisać dzieje serca tak jest łatwo, jak klecić pieniactwa, jak prawić pochlebstwa, jak drukować perkale. O! jeśliby ludzie mogli, nie mówię uczuć, nie mówię rozważyć, lecz tylko dostrzedz że pochodnia tém prędzéj się dopala im więcéj iskr i płomieni rozrzuca do koła; że autor rosprasza duszę swoją w dźwiękach; że on może pisze krwią i łzami i że na stronicach natchnionych tęsknotą, jeszcze drgają obrywki jego serca, jak niegdyś drgały kawałki skóry Herkulesa, napojone jadowitą trucizną odzieży, przysłanéj mu od chytréj kochanki: - to jakkolwiek są ciekawi, chciwi, nielitośni ludzie we wszystkiém co im obiecuje nową rozrywkę lub silne wstrząśnienie, jednakże staraliby się uprosić poetę, aby zamilczał, chociaż zawsze jeszcze pragnąc jego pieni. Ciężko taić na sercu zarzące się węgle miłości bez nadziei i zimno się uśmiéchać; słyszeć jęki własnego serca i razem słuchać cudzych niedorzeczności; niedbale poprawiać włosy, kiedy pod niemi wrą jadowite dumy; milczeć, kiedy wzburzone, rozpłomienione uczucia gotowe są rozerwać piérsi i wylać się lawą wyznania: lecz cięższéj jeszcze, daleko cięższéj, okropniéj, wyrażać to wszystko, z gniewem że niemożemy oddać w słowach całéj swéj duszy; z bojaźnią że powie-

dziane, rzuconém będzie w obojętność, lub co jeszcze gorsza, w proch przez nikczemność wdeptaném. I potém, żeby być zrozumianym od ludzi, potrzeba rozświerzać, stosować wyrażenia swoich uczuć z ich pojęciami. Trzeba niewolniczo ulegać prawidłom języka, pobłażać modzie, pełzać u nóg przyzwoitości, dobiérać końcówki i dźwięki, wtenczas kiedybym chciał wyrazić siebie rykiem lwa, pieśnią wolnego wiatru, niemym wyrzutem zwierciadła, klątwą pożerającego wzroku, chciałbym przeszyć strzałą gromową uniesioną burzliwym potokiem! I żeby echo mojéj tęsknoty szemrało, jęczało w duszach słuchaczy; - żeby błysk moich namiętności zażegał, palił, topił ich serca; - żeby się poili moją radością i razem ze mną stygli przerażeniem!

Niemogę tak się wyrażać a inaczéj niechcę: toby znaczyło puszczać się w bieg ze skutemi nogami.

Prawda, bywają chwile, bywają noce, w których pełność piérsi i głowy cięży, kiedy otwartość potrzebną jest jak powietrze, kiedy, chcąc lub niechcąc, zmuszony bywasz tajemnice serca i umysłu powierzyć współczuciu przyjaźni, rzucić je na wiatr lub na papiér. Lecz niechże siła i waga prawideł nigdy nie tkną tych dzikich gromad w malowniczym rozrzuconych nieładzie! Jak te góry rozszarpane siłą wulkanów i potopów, porznięte rospadlinami i rzekami, powstają strofy mimowolnéj improwizacyi. Widzicie tę nagą, opaloną strzałami piorunów, nieprzystępną nawet zieloności skałę? to jest smutek poety: tam wyniosła dusza jak góra śnieżnogrzywa w obłokach kryje czoło swoje! Tam, w głębi wre źródło młodzieńczego uczucia! Tam w cieniu pieczar iskrzą się oczy i zęby zjadliwéj hyeny: to sumienie! Stójcie: słyszycie, jak przeraźliwie, jak strasznie rozlega się w téj pustyni samotny i nie

odbity głos rospaczy?... I ileż to cudnych, lecz dzikich, lecz nie wyszukanych piękności, może przedstawić styl prosto z duszy wyrzucony? Za to nie ma po nim toru dla pospolitego czytelnika. Jego krawędzie dzielą się od siebie na skok lwa, na przelot orła. Takie runy pojmie tylko ten co je nakréślił. On sam tylko może błąkać się myślą między temi najeżonemi zwaliskami przeszłego swego bytu, — i sądzę odpoczywać u grobu własnego serca. Lecz pisać dla świata i jeszcze dla dzisiejszego świata! Ciężka powinność. Imie autora więcéj wymaga w gotowiznie, niżeli daje w obietnicach. Wiedząż ci, którzy tak dobrodusznie wierzą pochwałom przyjacioł i własnéj miłości i ci którzy sądzą, że aby zostać autorem potrzebne są tylko kałamarz i pióro, — wiedząż oni ile trzeba doświadczyć, przeczuć, przemyślić, ile pochłonąć uczoności, ażeby napisać kilka stronic godnych wieku i człowieka, godnych ducha, który połączył w sobie całą dziwaczność dziecięcia ze zrzędną surowością starca? Żeby obudzić smak przytępiony, który sam nie wie czego pragnie, lecz zna wszystko i wszystkiego wymaga? Dogodzić, zadosyć uczynić nienasyconéj żądzy wszystkiego co jest nowém, przerażającém, cudownem? Trzeba całych skał talentu żeby choć na jedno mgnienie nasycić tego żarłocznego olbrzyma. Trzeba łez, rzeki łez, krwi, morza krwi, żeby upoić go do wesołości. Trzeba go zranić, ażeby poruszyć; przestraszyć ażeby przekonać; trzeba go podbić aby mu się podobać. Trzeba być niewidzianym tworem, albo nad przyrodzoną istotą, albo jakim złym duchem, ażeby zająć uwagę tego zepsutego próżniaka. Trzeba odrzeć raj i piekło, oberwać promienie ze słońca i rozkosze z ziemi, stopić w jedno wszystkie trucizny Egiptu i wszystkie okropności zbrodni, ażeby

zwabić go i uraczyć do syta. Lecz . . . .
. . . .

Pisać, drukować dla świata, oddawać się pod prassę! Czyż nieczujecie przepowiedniego znaczenia tych wyrazów? Tu, w zarodzie tają się żądła oczekujące śmiałego poszukiwacza ludzkiéj pochwały. Wczoraj był on panem swoich myśli, bo ich niepowierzał ludziom. Dziś je drukował, i został niewolnikiem słów swoich. On się już lęka głupiego śmiéchu nikczemnika i nędznych dowcipów jakiegokolwiek chwilowego gazeciarza; lęka się złośliwych tłumaczeń swych niewinnych wybiegów. Strzały rzucone w powietrze spadają mu na głowę; przyjaciele unikają go jak oszczercę; wrogi stają się prześladowcami. Wczoraj był on jeszcze przykładnym, zdatnym, rozsądnym człowiekiem. Dzisiaj prassy drukarskie wycisnęły z niego wszystkie społeczne zalety. »On autor! on poeta!« To znaczy: --»on na nic się nieprzyda.«--Odtąd dar niebios będzie go karał jak przekleństwo matki: na jego świetne imie zaczną wieszać błazeńskie kołpaki i czarne dziwactwa. Za łaskę chyba nazwą go półrozumnym!.. Jakież żółciowe myśli! jak posępne farby? Świat jest płochy, lecz zaiste niejest złośliwy, dla tego właśnie, że jest płochy, to niema kiedy wychować i wykarmić złości. Więcéj ostre jak kolące są jego zdania, i jeśli on lubi niedługo, za to lubi namiętnie. Używaj więc téj miłości, póki nie spadła piana; bądź Chalifem choć na godzinę; pój się oklaskami i pochwałami; igraj uwagą modnych i zazdrością pięknych. Tyś nieszukał, a znalazłeś to wszystko: czemuż więc niewziąść procentów radościami życia, za długie lata nauki, trudów, namiętności i strat doznanych?-Skłoń się na zaprosiny, - i tyś pieszczoch najlepszego towarzystwa, ty proszony, pożądany gość za stołem możnych i w salonach wielkiego świata!

A wiecież moi panowie, że poeta gość wyższego grona jest jego igraszką? Czyliż myślicie żem ja tak prosty, tak pochlebiający sobie, iż zamarzę że mię wzywają dla moich przymiotów, a nie dla cudzéj zabawy? Możnym się chce słynąć Mecenasami za tanią cenę; im miło jest pośmiać się ze mną, albo ze mnie, dla tego że śmiech pomaga trawieniu:- i ja, drugi Ezau, mam przedać swoje pierworodztwo za misę soczewicy? I ja mam sypać swoje perły pod nogi ziewających próżniaków. Ja mam się przewracać i służyć na zadnich łapkach? Czyżeście pomyślili co mi radzicie? Niewszystkoż to jedno co wystawiać siebie na widok, jak słonia odtykającego butelki, z tą tylko różnicą że płatę za to podniosą mi na porcelanowém talerzu, a nie rzucą w oczy?

Prawda, łudzącą jest atmosfera wielkiego świata szczebiotanie salonów przyjemne i rozmaite jak muzyka Rossyniego. Lecz te wyzłocone ściany, składają się z mozaiki przesądów. Lecz ten ślizki parket namoszczony dziwacznemi warunki; te sufity wyklejone są obrazkami mód — i biada temu kto się odważy nakarmić sobą łakomą ciekawość wyłącznych obywateli tego świata! Śmieszną będzie rola jego dla drugich; godne litości położenie dla siebie samego. Cóż on przyniesie na ofiarę temu Egiptskiemu bożyszczu - krokodylowi, oprócz wczesnych marszczków na twarzy i zdawniałego kroju odzienia? niepojmie on języka którym przemawia moda; nie zna on tych ważnych drobnostek, które stanowią życie stolicy, które całego życia na wyuczenie się potrzebują. I oto nasz poeta w salonie. Otóż spotykają go przychylne spojrzenia i łaskawe uśmiechy. To wszystko są przynęty na wędki, ażeby zaczepić autorską gadatliwość. Częstują go przeżuwanemi grzecznościami, przywodzą do rozprawy z jakim żartownisiem, mi-

styfikują w oczy, a ledwo on za drzwiami, dalejże strzelać za nim zatrutemi pociskami obmowy.

— »Jakiż przedpotowy sposób znalezienia się!«

— »Tak, to jest dawniejsze jak wylew Newy.«

— »Powiadają że poezya jest językiem Bogów, a Pani z ich rodziny, Hrabino: proszę więc wytłómaczyć dla nas prostych śmiertelnych, o czém on mówił.«

— Nie jestem chemikiem, Książe, i nie umiem mgły rozbierać.

— Cóż dziwnego Hrabino, że on jest tak tajemniczym C'est une sommité litteraire, a wierzchołki gór zawsze są mgłami pokryte.

— Lecz to nieprzeszkadza widzieć że prawie wszystkie ch szczyty kończą się płaskością.

— Dla imienia Wiktora Hugo, proszę mi powiedzieć do jakiéj szkoły należy ten paniczyk? górnéj czy jeziornéj?

— Do błotnistéj. On się urodził na bagnach Nowogrodzkich.

— To widoczna. Bo też bardzo podobny do wodnéj lilii, zeschłéj między kartami łacińskiego słownika.

— Mylisz się, panie Baronie: nasz poeta wcale nie jest wodnisty. Powiedz pan lepiéj że jest nadto zapalonym i to będzie prawdą.

— Sucha trawa prędko się zapala; za to i gaśnie prędko.

— O, nie, Baronie; poeta żyje ogniem, którym goreje. Gdybyś pan słyszał ile mi on mówił o iskrach oczu, o łonie namiętności, o pożarach duszy, to......

— Tobym go przedstawił na Brandmaystra, nieprawdaż, Księżniczko? Taki niezgorzały człowiek, bez przeciw palnego przyboru, ważna rzecz dla straży ogniowéj.

— Wolno żartować, a zawsze ogień jest jego żywiołem; oddychać płomieniem, przyjemniéj jest dla niego, jak dla nas zapachem kwiatów.

— W takim razie Księżna pozwoli go zaliczyć do rodzaju dwunożnych Salamander!

— Jesteś uprzedzony, Baronie: on już dawno mieści się na liście osobliwości i tylko uwolniony na czas z gabinetu sztuk pięknych . . . .

. . . .

I to jeszcze tylko kwiaty modnéj złośliwości. Jeszcze tu nie ma trujących jagód, które dojrzewają dla ciebie przy promieniach świec woskowych lub księżycowym blasku lampy. Zaczekaj chwilę i świat modny wydrze ci twój spokojny zakątek odwiedzinami; chwilę twojego natchnienia na dań do imionnika; podtoczy nieufnością wiarę we wszystko piękne; miłość twą zatruje domysłami; wzajemność odwieje szyderstwem. A kiedy mu się nie uda uczynić cię śmiesznym, to cię ogłosi niebespiecznym.... i doprowadzi do tego, że ty, przed tém pragnący być znanym, zaczniesz błagać świat o zupełne zapomnienie jak o największą łaskę. I świat zapomni twoją osobę, zapomni twoje dzieła, zapomni wszystko prócz imienia. I to imie będzie pośmiewiskiem. »Wszakże czytali kiedyś tego ***skiego« powie on; albo:—»chwała Bogu, taki-to pogrzebiony na jednéj półce z Walter-Skottem!«

I te niedorzeczne sądzenia upokorząż ciebie, — ciebie, napojonego słodką rosą niebios? I szpilki rozszarpiąż twe serce, nierozbite pod młotem przeznaczenia? Wstydź się! Nie ciebie ja oddaję światu, ale świat tobie. Ludzie pospolici stworzeni są dla zabawy rozumnych; grajże nimi w szachy; wyciskaj ze społeczeństwa farby dla własnego poloru;

zbieraj daninę z jego dziwactw, z jego śmieszności, z jego występków. Lecz jeżeli chcesz sprostać złości i osłodzić się miałkiemi przyjemnościami lepszego społeczeństwa, nie w osobie postrzegacza, lecz w osobie towarzysza,—jedyny sposób poznać tajemnice gabinetów, usłyszéć mowy ich mieszkańców bez okras, zastać twarze bez różu, a serca bez mankietów:—zostań bogatym.

I cóż ta sława, iskrząca się łata
Na lichej wieszcza odzieży?
Złoto dziś, złoto zaletą u świata,
Złoto gromadzić należy! (*)

Przeklęty metal to złoto, niegaszący pragnienia napój piekielny! Napróżno przyrodzenie głęboko je ukryło: myśmy znaleźli sposób wydzierać je u ziemi. Każdy raz, kiedy dukat dotyka się mojéj ręki, zdaje mi się, że on udziela jéj swego galwanizmu. Prawda, rdzy na nim nie ma i być nie może, lecz zdaje się, że jest wilgotny ciężkim potem, że iskrzy się jak wzrok kusiciela. Czy nie złote było jabłko pierwszego grzechu? Czy nie ono, rozprysnąwszy się w złote krążki, roztoczyło się po całym świecie! Niech przeznaczenie rzuca je gminowi, jak orzechy malcom, dla wzbudzenia niezgody: ja się po żaden nie schylę. Powiedźcie, na co mi to złoto? Nie jestem bogatym, lecz lubiąc roskosz, umiem miarkować swoje chęci, dla tego, że lżéj jest znieść odmówienie od własnéj woli, niżeli od niemożności. Wierzę, że wielu mają wiele, a nikt zadosyć; lecz razem wierzę najmocniéj, że bogactwo zawiera się bardziéj w chęciach niż w posiadaniu. Powiadacie, że złotem można umościć drogę, gdzie się podoba; za nie można kupować ludzi. Zbyt wiele zaszczytu czynicie ludziom moi przyjaciele: wartoż kupować prosty proch, za proch

(*) Puszkin.

złocisty? Wartoż płacić złotem, za co bym ja niedał żelaznego grosza? Za uśmiech wynudzony ziewotą? Za uściśnienie ręki przywykłéj do wziątków? Za pocałunek Judasza z rękawami á la folle? Ludzie gotowi przedawać, przedawać drugich i sami siebie: szkoda żem ja nie kupiec na ciała i sumienia, i wyznam, z najściślejszego rachunku: podług mnie, ten kto się oddaje w najem za pieniądze, niewart jest pieniędzy. O! ja znam ludzi! znam najdokładniéj. Zresztą, mniéj jest godnym pogardy ten, co się dla korzyści upadla, jak ten komu pochlebstwo i uniżoność potrzebne są jak chléb powszedni.

A jednak złoto jest słońcem wielkiego świata; w jego tylko promieniach postrzegają się przymioty, tylko w jego pryzmie znikają wady. Niech zabłyśnie, a na spotkanie jego zaszczebioczą jak ptaszki i lica piękności rozkwitną uśmiechem. Wicher złotego pyłu mimowolnie zawraca serca i głowy. Złoty worek jest ideałem piękności, źródłem rozumu, Proteuszem słodycz. Nie mogę pojąć, i nic niedorzeczniejszego w świecie nie widzę, jak uszanowanie ludzi dla bogactwa. Szanujcie rozum, oceniajcie dowcip: ten was uczy, a tamten rozwesela. Poważajcie siłę,—to naturalnie: ona może zasłonić was lub zgubić. Lecz przez samego Mammona, powiedźcie, co wam da skąpy bogacz za wasze uniżone pokłony i potwierdzające uśmiechy? Za wszystkie wasze potakiwania i natrętne pochlebstwa? Co? — Stół jego bez nakrycia dla tych, co chcą u niego zjeść obiad, a nie szkosztować łakotek. Kręte jego schody dla suchotniczych piersi szukających opieki. Mocne zamki jego kufrów: worek zawiązany węzłem Gordyjskim dla wsparcia. Łzy nierozmiękczą jego serca: ono jest bryłą ziemi z któréj niewykrzesasz ognia, nie wyciśniesz

wody i nie wyrościsz makowego ziarnka. — I niech zostanę podobnym temu posągowi,— bogaczem; niech przywalam całym ciężarem złota dawnych mych towarzyszy; dla mnie ukłony dumnych; dla mnie uprzejmość piękności; dla mnie się pali więcéj świéc na wieczorach, i więcéj iskr w oczach dorodnych panienek; dla mnie nakoniec szafują wszystkie grzeczności, przygotowane na ważniejsze wydarzenia: lecz, powiedźcież, czy kupię ja za dźwiek pieniędzy, razem z tém wszystkiém i wiarę w tego prawdziwość? Byłem, żyłem w tym świecie: on mię widział i niepostrzegał; piękności mnie słuchały i nieoceniły. A jam był wtenczas świéższy umysłem i twarzą; byłem lepszy, czulszy, gorętszy. Gotów byłem wielbić, ubóstwiać je; oddać za ich miłosć nie podłe złoto, lecz krew serca, pokój duszy, niebo same!

I to wszystko minęło! Niewskrzesisz młodości deszczem Danai. Precz, wężu kusicielu, precz! mogłeś mię uwieść w moim raju, w mojéj młodości; teraz już zapóźno. Niewierzę ja światowéj przyjaźni; mniéj jeszcze światowéj miłości; przyjaźni,— która postępuje tylko z grzywny na grzywnę; miłości,—przylatującéj nieinaczéj jak na papierowych skrzydłach bankowych biletów. Niewierzę i sławie, która się rozsypuje w proch lub się ulatnia w parę. Teraz dokopałem się błota, którém się żywią korzenie lauru i myrtu tak pysznie bujające w powietrzu. Teraz ujrzałem straszne oblicze prawdy nieosłonionéj. Żądzo bogactw, wężu kusicielu, kąsaj mię w stopę: ona na głowie twojéj! serca mego niedosięgniesz!

Lecz czyliż na tym świecie niema umysłu, którego pochwała pochlebną jest dla poety? Niema serca, którego westchnienie ulgę by ci przyniosło? I poeto, — masz że zagrzebać w ziemię dar niebios, swoje talenta? I człowieku, — wy-

rzucisz duszę w pustynię bez podziału? Czyliż cię nieożywia myśl że ognisty młodzian czytając twe czarujące stronice zapomni godzinę nauk, człowiek światowy — proszoną ucztę; piękność — chwilę widzenia się? Że twe natchnione twory rozniecą jasne myśli w głowie samemu sobie jeszcze nieznajomego poety; oczyszczą swym ogniem duszę chciwego i ambitnego; obudzą słodkie, święte uczucia w piersiach niewinnéj dziewicy?..... Może się ona zaduma nad twemi marzeniami i jéj prześliczne, mdławe oczy łzami się napełnią; — ona wspomni ciebie westchnieniem, — i delikatny ogień przenikający całą jéj istotę, zapłonie w sercu myślą: »Jak on namiętnie kocha! jak przyjemnie być musi, być tak kochaną!« .... O! ....
....

A....t B.....ski.

NIEKTÓRE SZCZEGÓŁY
Z ŻYCIA PANNY
RACHEL.
(*z francuzkiego Edwarda Pagnerre.*)

Cała prassa drukarska ciągle zajętą była wystąpieniami panny Rachel; jedno głośne pochwały, świetne tryumfy, uwieńczyły piérwsze usiłowania; téj młodéj szesnastoletniéj artystki, bez pomocy intrygi, bez żadnéj protekcyi, doszła do tego, że wskrzesiła trajedyą Kornela i Rasyna.

Panna Rachel, która dziś dla kassy Teatru Francuzkiego największe sprowadza dochody, która sama pobiera 20,000 franków rocznie, temu trzy lata, była nieszczęśliwą dziewczyną, prawie opuszczoną, któréj się nawet wcale niemarzyło o świe-

tnym losie co ją oczekiwał na scenie. Panna Rachel urodziła się z rodziców niskiego rodu, (można to powiedzieć, nieuwłaczając bynajmniéj sławie téj znakomitéj artystki). Od lat dziecinnych, życie było dla niéj ciężarem, a że na wszystkiem zbywało jéj rodzinie, musiała przeto jak mogła sama się starać, o wyżywienie i ubranie swoje. Biedne dziecie, mając zaledwie lat siedem, biegała po ulicach jak Cyganeczka, wyśpiewując przed kawiarniami i na placach publicznych piosnki, których się nauczyła. Nie zawsze dnie były dla niéj pomyślne; i często, śpiewając od rana do wieczora, nieszczęśliwa powracała do domu zalana łzami, umierając prawie z głodu.

Pewnego dnia w zimie, gdy zmarznięta, wyśpiéwywała piosnki na bulewarze, Choron, ten sam co był nauczycielem Duprego, przechodził tamtędy. Czyste tony młodocianego głosu podobały się mu; przysłuchiwał się im chwil kilka, a gdy Rachel skończywszy piosnkę, wyciągnęła rękę, błagając go z pokorą o jeden grosz wsparcia.

— Kto cię nauczył śpiéwać? rzeknie do niéj Choron.

— Nikt panie.

— A te śpiewki, gdzieżeś słyszała?

— Po ulicach, przysłuchiwam się im, a potém sama wyśpiewuję. (A że biedaczka trzęsła się od zimna, stojąc boso na śniegu i wietrze.)

— Tobie zimno!? odezwie się znowu Choron.

— Tak panie i chłodno i głodno.

— Jeśli zechcesz pójść ze mną, dam ci wszystko czego potrzebujesz.

— A czy mi pan zakażesz śpiéwać? zapyta go z trwogą.

— Przeciwnie, moje dziecie, nauczę cię nowych śpiewek. Lubisz więc bardzo muzykę?

— O tak panie.

— Dajże mi rękę i pójdź ze mną.

Ruszyli oboje, Choron i mała żebraczka, zmierzając ku ulicy Monsigny, do téj szkoły z któréj wyszło tak wielu dobrych mistrzów. Tam Rachel znalazła, jak się można spodziewać, inne życie; przyjemności o których nigdy niemarzyła nawet; starania i obfitość! lecz co ją nadewszystko uszczęśliwiało, to lekcyje muzyki udzielane jéj przez Chorona. Postępy czyniła nader szybkie; już smak jéj zaczynał się kształcić, głos nabierał mocy, a Choron mawiał do wszystkich co go odwiedzali:

— Zobaczycie że ta maleńka będzie kiedyś cuda dokazywać.

Choron umarł z wielkim żalem przyjaciół sztuki, a nadewszystko Racheli, biédne dziecie utraciła wszelki sposób utrzymania się i piękne jéj marzenia zniknęły. Szkoła została zamkniętą.

Otóż Rachel bez żadnego sposobu, zmuszona znowu wrócić do swego pierwotnego przemysłu, włóczyć się, jak niegdyś wyciągać rękę do przechodzących i żyć z jałmużny którą jéj poda na ulicy miłosierdzie ludzi.

Rachel przestała już być dzieckiem: była to dziewczyna wysmukła, z piękną kibicią.

Duma jéj oburzyła się na samą myśl żebractwa. Słyszała u Chorona wspominających, że jakiś stary aktor M......, dawał lekcye deklamacyi. Namiętnością Racheli był teatr, udała się więc do tego artysty, z prośbą aby jéj udzielał swych lekcyi. Ten przyjął ją z łaskawością i nauczył kil-

ka rol. Lecz wkrótce przyjaciel zmienił się w kochanka i pewnego poranku, uczennica zamiast lekcyi deklamacyi, usłyszała oświadczenie miłosne. Nie tego w cale pragnęła Rachel, a potém ona tak była młodą jeszcze, a on już tak starym. Odrzuciła więc z oburzeniem propozycyą sobie uczynioną i oddaliła się ze łzami w oczach, lecz z sercem pełnym zawsze odwagi, szukać innego nauczyciela nie tak rozkochanego. Saint Aulaire, który także miał szkołę deklamacyi, dostrzegłszy znamienite zdolności w Racheli, przyjął ją, a że przybyła do niego nędznie ubrana, dał jéj najpierwéj pończochy i odzienie. Potém dopiero rozkazał grać przed sobą. Rachel posiadając dobre serce i dobry smak, była wdzięczną za łaskawość Saint Aulaira, pojęła jednak że innego natchnienia potrzeba młodéj duszy artystycznéj. Poznawszy że jéj zdolności zbyt były skrępowane w mieszkaniu Saint Aulaira, zaczęła się dopraszać o pozwolenie wystąpienia w Konserwatoryum. Wprawdzie grała już dobrze kilkakrotnie w pałacu Castellane; lecz cóż to jest teatr towarzyski? Saint Aulaire stawił swoją uczennicę przed klassycznem Areopagiem Konserwatoryum, w pośrodku którego zasiadał aktor Samson. Rachel oddeklamowała kilka ustępów. Osądzono że maleńka nie źle skanduje wiérsze, że kiedyś będzie mogła grywać *powiernice*, jeśli nabędzie smaku, a nadewszystko przyzwoitości scenicznéj. Ci panowie twierdzili że *zgubiłaby* trajedyą, oddając wiérsze z taką śmiałością. Postanowiono więc jednozgodnie, że Rachel grać będzie rolę *Flipoty* w *Tartufie* którego uczniowie Konserwatoryum przedstawić mieli. Nieszczęśliwa była w rozpaczy.... jakto grać *Flipotę*, kiedy marzyła o rolach *Xymeny* i *Emili*, dostać policzek od pani *Pernelle*, wtenczas gdy pragnęła być kochanką *Rodryga*,

Cynny i tych wszystkich bohaterów trajedyi klassycznéj. Zapłonęła się, a z oburzenia i zniechęcenia zaczęła płakać.

Szczęściem dla niéj znajdował się jeden słuchacz bezinteressowny, człowiek posiadający więcéj smaku niż myślano, był to Monval, Rezysser teatru Gimnazyum; on dostrzegł w tym dziecku, talent i uzdolnienie do rol wyższego rzędu. Będąc zobowiązanym od pana Poirson, swego dyrektora, do starania się o tanich aktorów, zaproponował pannie Rachel zakontraktowanie trzechletnie za kilka talarów. Rachel chętnie przyjęła propozycye Monvala. Wprawdzie wzdychała do lepszych rol jak w wodewilach; lecz przedewszystkiem pragnęła wystąpić na publicznym teatrze, podpisała więc prędko umowę.

Dzienniki doniosły w owym czasie że młoda panienka nazwiskiem Rachel występowała w *Wandeyce* w teatrze Gimnazyum. Niezważano bynajmniéj na występującą która wkrótce zapomnianą została. Wtenczas to Poirson, który lepiéj sobie wróżył o wystąpieniach swéj artystki, rzekł do niéj z wspaniałomyślnością zaszczyt mu przynoszącą. Moje dziecie, posiadasz talent, bądź tego pewną; lecz tu nie jesteś na swojém miejscu. Zawarłem z tobą umowę nader dla mnie korzystną, lecz zrywam ją. Obowięzuję się umieścić cię w teatrze *Francuzkim* i aż do chwili twoich wystąpień na téj scenie, płacić ci będę twoją pensyą.

Panna Rachel nabrała odwagi. Pan Poirson udał się do aktora Samson, tego samego który przed kilku miesiącami pierwéj, osądził ją zdolną odegrać rolę Flipotty. Jakże wielki być musiał żal Samsona, człowieka nader rozsądnego, gdy bliżéj zbadawszy talent panny Rachel, przekonał się że w niéj jedynie spoczywa cała przyszłość trajedyi.

— Nie będziesz już grała Flipotty moje dziecie, rzeknie do niéj, twoje role są *Kamilli*, *Emilii*, *Hermiony*. Lecz pierwéj musisz nauczyć się po francuzku, gdyż nieumiesz wcale tego języka.

W trzech miesiącach, Rachel nauczyła się języka i wystąpiła. Wiadomo wszystkiem jakie tryumfy odniosła.

Panna Rachel jak powiédzieliśmy ma dopiéro lat szesnaście; a jest to talent już piérwszego rzędu. Jéj postać nadzwyczajnéj piękności, zwraca na siebie wzrok widza przez czucie którem tchnie a nadewszystko które udziela. Jéj talent niema nic pożyczonego, jéj manier grania trajedyi, jest zupełną nowością. *W. S.*

POEZYA.

DO ELINY.

Pocóż się męczę i poco łzy ronię,
Czyliż tak mało mam dumy i siły,
Że mi już bez niéj cały świat niemiły,
Że już pociechy miałbym szukać w zgonie?
Poco łzy gorzkie broczą pierś i dłonie,
Któż mi te perły stracone powróci,
Kto żal oceni, kto cierpienia skróci?
Pocóż się męczę i poco łzy ronię!

Czemuż w méj duszy wrą zawiści jady:
Przecież gdym widział ją przy jego boku,
W zimnym uśmiechu, obojętném oku
Wewnętrznéj walki mogłem skrywać ślady.

Gdy się doń śmiała, ja, milczący, blady,
Żeby nie zepsuć jéj szczęścia uroku,
Nie rzekłem słowa, nie rzuciłem wzroku...
Czemuż więc w duszy wrą zawiści jady?

Ach! bom ją kochał nad wszystko na ziemi!
Lecz jéj spokojność nad własną przekładam;
Cierpię katusze, ale sobą władam,
Nie chcę ją trwożyć skargami mojemi.
I choć mą przyszłość mgła smutku zaciemi
Nektar żywota zatrują gorycze,
Pragnę jéj szczęścia, jéj radości życzę,
Ach, bom ją kochał nad wszystko na ziemi.

Gdyby nie srogość przeciwnego losu,
Co mię wskazuje na cierpienia same,
Możebym skruszył szczęśliwości tamę,
I mógł uniknąć ostatniego ciosu.
Jabym ją skłonił słuchać serca głosu,
Wzruszył czułością przeraził rozpaczą...
Lecz mi wyroki inną drogę znaczą,
I cięży srogość przeciwnego losu.

O! bylibyśmy szczęśliwi oboje!
Na świętym cnoty i miłości tronie,
Kwiatami uczuć wieńczyłbym jéj skronie,
I miłych uciech przywoływał roje.
Onaby serce oddała mi swoje,
I połączeni węzłem stałéj wiary,
Słodycze życia pili z pełnéj czary,
I bylibyśmy szczęśliwi oboje.

Lecz moich przygód inne są koleje,
Nie dla mnie szczęście, nie dla mnie słodycze...

Ja każdą chwilę nową troską liczę,
I jadem smutku życie mi rdzawieje...
Niebo niech na nią wszystkie dary zleje,
A gdy wspomnienie piękne lica spłoni,
Niech za cierpiącym łzę żalu uroni...
Bo moich przygód smutne są koleje!...!
1835. *A....t B......ski.*

TANCERKA WENECKA

POWIEŚĆ Z DZIEŁ KSIĘŻNÉJ d'ABRANTES.

Miłość tylko prawdziwą jest w sercu kobiety... tam tylko wspaniałomyślna i bezinteresowna.
KONSTANCYA AUBERT.

Piękny wieczór po pięknym dniu nastąpił. Uroczystość była w Wenecyi: gondole szybko krążyły po wielkim kanale; jedne przepływały tam i nazad pod mostem *Rialto*; inne porzuciwszy *Sestiero di San-Marco* dążyły ku morzu, oddychać *aria marina* pod zacieniami publicznéj przechadzki. Tłumy łodzi i gondol ślizgały lotem strzały po tych samych wodach co kąpały niegdyś pałace potężnéj Wenecyi, a dzisiaj odbijają tylko uśpione szczątki, które chciwość raczyła Adryatykowi pozostawić. Jednakże w ten piękny wieczór letniéj uroczystości, znaleźli jeszcze piosnki wioślarze; barkarole ich budziły echa Lido, i odbijały się o Riotto, który także głos odzyskał. Zdawało się iż na dzień jeden żelazne skrzydła niedoli ciężyć przestały nad czarodziejskiém miastem, a Wenecya w owych godzinach roskoszy była jeszcze szczęśliwą Wenecyą.

Pod jaśniejącemi tysiącem świateł arkadami świętego Marka krążyły liczne grupy kobiét; wszystkie prawie były młode i piękne, wszystkie miały bukiety z róż, tak drogich Wenecyankom. Niektórych głowy osłaniała jeszcze czarna starożytna zasłona, tak często opiewana przez poetów, wdzięczna rywalka mantylki hiszpańskiéj. Wszystkie prawie mnogie tłumy wiodły za sobą; bo we Włoszech... bo w Hiszpanii... *tam*, gdzie pomimo pozornego uśpienia mężczyzn, poezya i sztuki nadobne jeszcze zachowały swoje penaty, uczuli, zrozumieli, że kobiéta jedna tylko zdoła zażywiać święty ogień natchnienia.

Wenecya nie tylko przez długie wieki była miastem miłości i sławy, lecz także z miast najszczęśliwszém. Żaden naród tak błogiego nie pędził życia jak Wenecyanie. Śpiéwali, marzyli o miłości, przepływając zwolna laguny w powabnych swoich gondolach, rozciągnieni na miękkich węzgłowiach, obok kochanki, nucąc piękne rymy Ariosta lub Tassa.... porzucali potém łodź dumającą, przebiegali plac Świętego Marka, Casina, Ridotto, otoczeni wonią kwiatów, chłodząc się najprzewyborniejszemi sorbety, aż do chwili gdy się otwierał teatr *la Fenice*. (*) Wówczas wybijała godzina nowych roskoszy: gdyż Wenecyanie lubią namiętnie ten rodzaj zabawy. Muzyka i tańce są dla nich przedmiotem czci prawie... Po skończonéj operze, szlachetny patrycyusz, równie jak mniéj zamożny mieszczanin, powracał do Kasinów; jadł wieczerzę, grał; a gdy wschód słońca purpurą i złotem oblał fale Adryatyku, każdy szedł do swego pałacu lub domu spać przez ciąg dziennego upału, aby wieczorem rozpocząć na nowo to życie zabaw, miłości i harmonii.

(*) Czytaj Fenicze.

Nie chcę jednakże utrzymywać, aby Wenecya była całkiem wydziedziczoną wdową. Ma zawsze swoje pałace, wspaniałe kościoły, czarowne okolice, ową Brentę z zieleniejącemi brzegi, słowem własny swój świat czarodziejski. Gdyż Wenecya odosobniona od świata, własnym jest swojm utworem. Ręką ludzką na żywiołach zdobyta, wyłączny posiada urok, szlachetną wielkość, która cześć obudza.

Lecz niedola nie zdołała nadewszystko przytłumić zapalczywego upodobania Wenecyan w uroczystościach i zabawach; sklepienia teatru *la Fenice* rozlegają się jak w najradośniejszych dniach szczęścia hucznemi poklaski bałwochwalczego parteru, gdy melodyjny głos powtarza wdzięczne śpiewy nieśmiertelnego Rossiniego, lub gdy znakomita tancerka zachwyca swoim talentem.

Owego dnia, o którym wspomniałam, pierwszy raz przedstawiano w teatrze *la Fenice* balet: *Paweł i Wirginia*. Znajdowała się właśnie w Wenecyi młoda panienka, czarująca pięknością i dowcipem, obdarzona wszystkiemi dary hojnéj natury i połączająca z niemi najpiękniejszy talent, jakiemu od dawna nie przyklaskiwała już Wenecya. Była to tancerka Zerbina.

Powiedzieć że była *ulubioną*, byłoby to słabo oddać uczucie z jakiém przyjmowano ją każdego razu gdy ukazywała się publiczności: byłto najwyższy zapał, uwielbienie prawie... Przedłużone poklaski, wieńce, wiérsze, słowem zupełny tryumf zakończał każde jéj wystąpienie. Wdzięczna za przychylność jaką talent jéj nagradzano, Zerbina również przywiązała się do Wenecyi i całkiem poświęciła teatrowi *la Fenice*. Codziennie u siebie dawała *conversatione* (wie-

czory), a najznakomitsze osoby miały sobie za zaszczyt znajdować się na nich.

W dzień pierwszéj reprezentacyi Pawła i Wirginii, Zerbina długą odbyła przejażdżkę nim udała się do teatru. Spoczywając na elastycznych węzgłowiach swéj gondoli, zdawała się zmartwiona i milczała upornie śród licznego grona otaczających ją wielbicieli. Miłość niektórych z nich bawiła Zerbinę; niekiedy nudziła ją znowu, a dnia tego czuła się usposobioną do zrzędzenia. Często rozsuwała firanki gondoli, i zdawała się czegóś z daleka upatrywać... Niezadługo zapuszczała znowu draperye, rzucała się na węzgłowie, i znowu pogrążała w milczeniu, a barka tymczasem ślizgała się po lagunie.

— Na plac Świętego Marka! — zawoła niespodzianie na wioślarzy.

— Nie jesteś dzisiaj w wesołym humorze, Zerbinetto — rzekła jedna z jéj towaszyszek.

Zerbina nic na to nie odpowiedziała.

— Zerbinetto *Carina*, co ci jest? Czy rolę twoją powtarzasz?... Ależ przecie nie mamy tu ani *Pawła*, ani Hrabiego...

Zerbina odwróciła głowę i spojrzała na Anuncyatę wielkiém czarném okiem zroszoném łzami; biedna Anuncyata rozpłakała się natychmiast, i biorąc Zerbinę za rękę, odezwała się z ową dobrocią, ową naiwną dobrocią właściwą młodym Włoszkom:

— O mój Boże! czy jakie nieszczęście się przytrafiło?

Zerbina za całą odpowiedź potrząsnęła głową, potém ukrywszy twarz w chustce głośno łkać zaczęła.

Anuncyata przestała ją pytać; spojrzeniem tylko badała dwóch znakomitych Wenecyanów, znajdujących się w gondoli. Obaj przeczącym odpowiedzieli skinieniem.

W téj chwili gondola przybyła do *Piazetta*. Zerbina otarłszy łzy, uśmiéchnęła się do hrabi Grimani, podającego jéj rękę, i na brzeg wyskoczyła. Zaledwie ją poznano, zaczęto tłumem cisnąć się w około niéj i w tryumfie niejako zaprowadzono do teatru; lecz ta co była celem tego tryumfu inaych zdawała się pragnąć hołdów, a błędne jéj oczy nieobecnego szukały przyjaciela. Jednak smutek obarczający ją w gondoli niknął stopniowo gdy się zbliżała do teatru; gdy przybyła nareście, piękna jéj twarz cały wdzięk swój odzyskała, podniosła głowę, zapromieniało jéj oko, i stała się podobną Terpsykorze zdobiącéj jego wystawę.

Lecz gdy sama ujrzała się w swéj loży, z jedną tylko pokojową trefiącą jéj włosy, łzy znowu z oczu płynąć jéj zaczęły.

— I gdzież on jest teraz? — rzekła uderzając maleńką nóżką w źle spojone deski swego gotowalnianego gabinetu. O mój Boże! co to za głupstwo kochać!

I mocniéj płakać zaczęła. W téj chwili dwa razy z lekka do drzwi zastukano, pokojowa pobiegła otworzyć; lecz odepchnęła ją Zerbina, i jednym skokiem już była u drzwi.

— Jesteś przecie, Mości panie rzekła do młodzieńca który wszedł nie prosząc o pozwolenie, i z największém uszanowaniem pocałował ją w rękę. — Zkądże to przybywasz, cały dzień zdala odemnie przepędziwszy?... Lecz cóż to mnie ma obchodzić gdzie byłeś; jużem się znudziła bezustannie łajać: zresztą, przychodzisz, jestem już zadowolona; bo ty mnie bardzo kochasz, wszak prawda, najdroższy?